

ALEKSANDER MINKOWSKI



WAHANIA

 SAGA
EGMONT

ALEKSANDER MINKOWSKI

WAHANIA

 SAGA
EGMONT

Aleksander Minkowski

Wahania

Saga

Wahania

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1959, 2022 Aleksander Minkowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728177518

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa
medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera
dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Wiatr trącił lekko szybę uchylonego okna i promień słoneczny ześliznął się ze ściany na biurko. Dotknąłem go palcem: był ciepły i bardzo błyszczący. Daleko za oknem, w dole, widziałem żółty brzeg Wisły i nieco ciemniejsze plamy opalających się ludzi.

Znów spojrzałem na maszynopis. „W ramach destrukcyjnego zaniżenia norm jedna roboczogodzina...” Uśmiechnąłem się. Ujrzałem w wyobraźni olbrzymią tabelę, oprawną w ciężkie złożone ramy. Linia wykresu wiła się na niej jak czarna żmijka.

— Lubicz! — usłyszałem. — Do sekretarza redakcji.

W pokoju sekretarza było mroczno, ciężkie story pochłaniały słoneczny blask, bijący od okna. Kurowski wertował stertę zdjęć i upłynęło kilka chwil, nim uniósł głowę.

— No jak? — zapytał. — Przejrzałeś artykuł Kalety?

— Niestety — odparłem. — Do druku raczej się nie nadaje. Jest nudny jak rycyna.

— Co to znaczy? — Kurowski odsunął na bok zdjęcia. Miał ładną twarz prowincjonalnego fryzjera.

— Powiedziałem przecież. Artykuł jest bardzo nudny i nie wnosi absolutnie nic nowego. Jeszcze jeden hymn na cześć hutników.

Kurowski wstał i złożył dłonie na piersiach, szybko poruszając palcami. Nie znosiłem jego palców: były cienkie i szare jak dżdżownice. Gdy się witał, czuć było ich chłodną wilgoć.

— Wydaje mi się, że przesadzasz — powiedział półgłosem, nie patrząc na mnie. — Uważam Kaletę za zdolnego dziennikarza. Bądź łaskaw przekazać artykuł Kwiatkowskiej. Powiedz, że proszę, by go zadiustowała.

— Dobrze. — Chciałem wyjść.

— Jeszcze chwileczkę — nie patrzył na mnie. — Pojedziesz o drugiej do drukarni.

— Miałem dyżur w ubiegłym tygodniu.

— Pojedziesz o drugiej do drukarni — powtórzył spokojnie, kierując na mnie bezbarwny wzrok. — O drugiej będą już kolumny.

— Z jakiej racji? — poczułem, że zasycha mi w ustach. — Nie jest moim obowiązkiem...

— Pozwolisz — przerwał mi — że ja będę dyktował, co jest, a co nie jest twoim obowiązkiem. O drugiej zaczniesz czytać kolumny.

Spojrzałem w stronę okna. Po zielonej fałdzie story wspinała się mucha. Była niebieska, gruba. Widziałem, jak nerwowo porusza błonkami skrzydeł.

— A jeśli się nie zgodzę? — zapytałem.

— Myślę, że się zgodzisz.

— Otóż... — Mucha oderwała się od story i brzęcząc pomknęła w róg pokoju. — Nie zgadzam się — powiedziałem cicho, odprowadzając ją spojrzeniem. — Nie pojedę do drukarni.

Kurowski uśmiechnął się. Oderwał prawą dłoń od piersi i jął bębnić palcami o blat biurka.

— No cóż — powiedział. — To twoja sprawa. Ale pragnę ci przypomnieć, że nie po raz pierwszy dochodzi między nami do podobnych incydentów.

— Słuchaj, ty... — Mucha znikła nagle, jakby się rozplynęła w powietrzu. — Mną rządzić nie będziesz, jasne? Ja nie jestem Michalczuk, który ci lata po papierosy. Ja mam cię w... — roześmiałem się głośno, nienaturalnie.

— Wyjdź stąd — usłyszałem. — Natychmiast.

Kątem oka zobaczyłem jego twarz, bielszą niż zwykle, i trzepocące rzęsy, długie, zawinięte ku górze, ciemne. Starannie zamknąłem za sobą drzwi.

Kwiatkowska wzięła ode mnie maszynopis i skrzywiła się.

— Kaleta — westchnęła. — Pewnie znów radosna piła. Czytałeś już?

— Owszem — skinąłem głową. — Kurowski prosił, żebyś to przygotowała do druku.

— Przyjaciele naszych przyjaciół... — Kwiatkowska uśmiechnęła się ironicznie. — Dobrze — powiedziała. — Spróbuję coś z tym zrobić.

Wróciłem do swego pokoju. W szklanej tafli leżącej na biurku wciąż topił się słoneczny promień. Z okna płynęło ciężkie, nagrzane powietrze. Po Wiśle leniwie sunęła łódź ze zwiotczalym żaglem.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i położyłem na widełki. Było mi gorąco.

— Kolega Lubicz do Naczelnego.

W szklach okularów migotały błyski i oczu Naczelnego nie mogłem zobaczyć. Słyszałem natomiast każde słowo, wypowiedane przez niego z chłodną pedanterią. Obok fotela Naczelnego stał Kurowski. Skrzyżował ramiona na piersiach i przebierał palcami.

— Nie mogę tego dłużej tolerować, towarzyszu Lubicz. — Naczelnny patrzył mi prosto w twarz i denerwowało mnie, że nie mogę widzieć jego oczu. — Dla takich jak wy nie może być miejsca w mojej redakcji.

— Co macie mi do zarzucenia? — rzuciłem w połyskujące szkła.

— Jesteście niezdyscyplinowani i aroganccy, towarzyszu Lubicz. Wykręćacie się od roboty, traktujecie ją lekceważąco.

— To nie są konkretne zarzuty.

Naczelny spojrział na Kurowskiego.

— Wasze dwa ostatnie materiały nie nadawały się do druku — powiedział Kurowski nie przestając poruszać palcami. — Musiałem prześlęczyć nad nimi parę godzin, by mogły się ukazać w piśmie.

— Nie zauważyłem w tekście żadnych zmian — mruknąłem.

— Opuściliście w tym miesiącu bez usprawiedliwienia kilka dni pracy — ciągnął, jakby nie słysząc mojej repliki. — Odmawiacie opracowania ważnych dla pisma materiałów. Spóźniacie się na szkolenia... — sięgnął po notes. — W tym miesiącu spóźniliście się dwa razy. Poza tym wasza postawa moralna...

— Że co? — podałem się do przodu.

— Nie denerwujcie się, Lubicz — Naczelny z uwagą oglądał swoje paznokcie. — Jak widzę, umiejętność odbierania krytyki także nie jest waszą zaletą.

Zacisnąłem wargi.

— A więc wasza postawa moralna — ciągnął Kurowski — także budzi poważne zastrzeżenia. Jesteśmy przecież sąsiadami. Kilkakrotnie widziałem, jak z waszego pokoju po godzinie jedenastej wychodziła kobieta. Regulamin „Hotelu prasy” zezwala na wizyty do godziny dziesiątej i wy wiecie o tym, kolego Lubicz.

— Co mi jeszcze powiesz? — mruknąłem.

— Wystarczy. — Naczelny wstał, z postawy i tuszy przypominał Napoleona. — W dzisiejszym incydencie jestem zorientowany. Tak dłużej być nie może, towarzyszu Lubicz. Próbowaliśmy was wychować, ale...

— Nie udało się — dokończyłem za niego. — To chcieliście powiedzieć, nieprawdaż? Otóż — przeniosłem wzrok na Kurowskiego — tego człowieka mam dość. Nie chcę go oskarżać, bo w tym pokoju on i tak będzie miał

rację. Powinienem mu dać w twarz, ale jakoś nie mam ochoty. Nie mam także ochoty na usprawiedliwianie się.

Zapadło milczenie. Milczenie to było moją przewagą: obaj czuli się najwyraźniej zaskoczeni.

— No więc? — dodałem po chwili. — Słucham.

Naczelnny oderwał wzrok od paznokci.

— Chyba rozumiecie, towarzyszu Lubicz — powiedział.

— Rozumiem — uśmiechnąłem się. — Czy z miejsca?

— Tak jest. — Naczelnny patrzył na mnie i teraz już widziałem dokładnie jego wypukłe, okolone czerwonymi obwódkami oczy. — Nie chcę was więcej widzieć w mojej redakcji. — Słowo „mojej” wyraźniej niż inne zaakcentował. — Wszelkie formalności załatwię osobiście w Delegaturze. Będziecie musieli także opuścić pokój w hotelu. I to jak najszybciej.

— W porządku. — Skłoniłem się. — Czy mogę już iść?

— Zawiodłem się na was, towarzyszu Lubicz.

— Na nim się nigdy nie zawiedziecie — wskazałem głową na Kurowskiego. — Chyba że...

Nie dokończyłem. Dostrzegłem znów przybladłą twarz sekretarza i raz jeszcze się skłoniłem. Gdy opuszczałem gabinet Naczelnego, trwała w nim cisza. Aluminiowa klamka błyszczała w słońcu. Czułem ją w dłoni jeszcze wówczas, gdy z marynarką przerzuconą przez ramię opuszczałem gmach redakcyjny.

Figus przywitał mnie jak zwykle z wesołą wylewnością.

— Masz coś dla „Proporca”? — zapytał. — Potrzebujemy dobrego reportażu i oto zjawia się Lubicz. Siadaj, mistrzu.

Uśmiechnąłem się do niego. Końska twarz Figusa we wszystkich wzbudzała sympatię.

— Mam do ciebie kilka spraw — powiedziałem, nie przestając się uśmiechać. — Po pierwsze, oddaj osiemdziesiąt złotych.

— Po pierwszym. — Wywrócił pustą kieszeń. — Nie mam nawet na fajki.

— Po drugie, mogę coś dla was napisać. Chętnie wziąłbym delegację w teren.

Figus lekko przechylił głowę.

— Kurowski pozwoli ci dla nas wyjechać?

— Wywalili mnie pół godziny temu.

Twarz Figusa ściągnęła się; poczułem, że uważnie mi się przygląda.

— Co się stało? — zapytał.

— Znasz Kurowskiego.

— Słuchaj, Bohdan... — Figus usiadł na krawędzi biurka; mówił tonem poważnym jak do dziecka. — Wiem, czym jest podszyty Kurowski. Ale dziś o etat jest bardzo trudno. Wydaje mi się, że niepotrzebnie z nim zadzierałeś... Czy to ostateczna decyzja?

— Daj spokój, staruszkule — klepnałem go po ramieniu. — Nie zgine, ręczę ci. Co prawda, wychowywano mnie przez półtora roku, ale w tyłek nie nauczyłem się włączyć. Zresztą niczego nie żałuję. Wyślesz mnie w teren?

— Z przyjemnością — Figus wstał zza biurka i przeszedł po pokoju. — Dokąd chciałbyś pojechać?

— Wszystko mi jedno.

— No to wal do Gdańska. W tamtejszej stoczni dzieją się ciekawe rzeczy. Kiedy chcesz wyjechać?

— Jeszcze dziś.

— Doskonale. Zaliczkę dadzą ci z małej kasy. Na jak długo mógłbyś pojechać?

— Myślę, że tydzień mi wystarczy.

— Doskonale. — Figus wypisał zlecenie na kartce z brulionu. — Zaniesiesz to do sekretariatu i weźmiesz delegację. Co zamierzasz dalej robić? — spojrzał na mnie pytająco.

— To samo co dotąd — zbliżyłem się do niego i położyłem mu dłoń na ramieniu. — Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

— No?

— Muszę się wyprowadzić z hotelu. Przygarniesz?

Figus potarł czoło wskazującym palcem.

— To się da chyba zrobić... — powiedział z namysłem. — W przyszłym tygodniu szwagier wyjeżdża na miesiąc do Francji, przez ten czas możesz u mnie mieszkać.

— A potem coś wykombinuję — rzuciłem wesoło. — Na razie wyrywam do Gdańska. Pozwolisz, że wieczorkiem podrzucę ci walizkę z łachami.

— Co z Olgą? — Figusowi zdawało się, że zmienia temat.

— Między innymi przez nią pożegnałem redakcję. — Roześmiałem się. — Prawie co dzień po kursach Olga składa mi wizyty, co, rzecz jasna, nie mogło umknąć uwadze Kurowskiego. Zarzucił mi, że się prowadzę niemoralnie.

— Chyba bez podstaw?

— Przecież wiesz, że od roku nie mam z Olgą nic wspólnego.

— Po cóż więc przychodzi?

— Nie jest pewna, czy to się definitywnie skończyło. Ma jakiegoś faceta, który jej proponuje małżeństwo, ale ona jakoby woli mnie i wciąż pyta, czy nie zmieniłem zdania.

— A ty? — Figus parsknął śmiechem.

— Doradzam jej małżeństwo z facetem. Gość ma podobno dwupokojowe mieszkanie i bardzo ją kocha. Czy Oldze czegoś więcej trzeba? Po prostu wbiła sobie w głowę, że dziennikarz to coś więcej niż handlowiec, szczególnie w dzisiejszych czasach.

— Może byś się jednak z nią ożenił? Mówiłeś mi kiedyś, że Olga ma własny pokój z kuchnią. To też niezłe na początek.

— Zaczekam na willę z ogrodem. Stan kawalerski nie znudził mnie jeszcze.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni. Klamka przy drzwiach była tu również aluminiowa, ale chłodna, bez słonecznego połysku. Dotknąłem jej z ulgą.

Pokój, w którym mieszkałem, był szary. Barwą i czymś jeszcze, czego nie potrafię określić, przypominał mysz. Skojarzenie to denerwowało, ponieważ parterowe okratowane okno sugerowało raczej podobieństwo do klatki i te dwa pojęcia — klatka i mysz — nie mogły się we mnie pogodzić. W każdym bądź razie świadomość, że na zawsze ten pokój opuszczam, nie należała do przykrych.

Do odejścia pociągu zostały mi dwie godziny czasu. Stałem przed lustrem i namydliwszy pędzelek zabrałem się do golenia. Lubilem tylko pierwszą połowę tej czynności: głaskanie policzków miękkim i ciepłym pędzlem, za dotknięciem którego zarost znikał pod kłębami tęczowo mieniącej się piany. Druga połowa — operowanie brzytwą — zawsze sprawiała mi lęk. Wyobrażałem sobie, że nieostrożnym ruchem przecinam żyłę na szyi i w górę uderza dymiący strumień krwi. Kiedyś, pod wrażeniem tej wizji, rzeczywiście drasnąłem się w szyję, na szczęście nie zawadając o arterię. Odtąd nawet dotknięcie ciepłego pędzla było jedynie przedsmakiem zbliżającego się strachu.

Skończyłem się golić. Włożyłem do teczki przybory toaletowe i zaciągnąłem pasek. Potem zdjąłem pantofle i czyszcząc je spróbowałem pomyśleć o incydencie redakcyjnym. Miałem zamiar rozważyć sytuację, w jakiej się znalazłem, chciałem ją rozsądnie przeanalizować. Nic z tego. Widziałem coraz jaśniej połyskujący pantofel i nic poza tym nie docierało do mojej świadomości.

Po kilkunastu minutach oba pantofle jaśniały, jak pociągnięte lakierem.

Rozdział drugi

Są tylko pokoje dwuosobowe — powiedziała hotelowa.

— W porządku — skinąłem głową. — Może być.

— Czy zajmie pan cały pokój?

— Nie — usłyszałem, nim zdążyłem odpowiedzieć. — Ten pan zamieszka ze mną.

Obejrzałem się: obok mnie, z fleszem przewieszonym przez ramię, stał Jurek Segał, reporter z „Kuriera”.

— Chyba nie będziesz protestował — ciągnął, podając mi rękę. — Ja tylko na jedną dobę, a jutro zamienisz na jednoosobowy.

Pokój, który nam przydzielono, był jasny. Gdy wyciągnąłem się na łóżku, przez okno widziałem półkole błękitu z powtykanymi gdzieniegdzie strzępkami obłoków.

— Robienie fotoreportażu to świetna zabawa — mówił Jurek, ładując aparat fotograficzny. — Wczoraj na przykład robiłem w Bydgoszczy kilka zdjęć ze stołówki robotniczej. Kierownik dowiedział się, że dziennikarz chce fotografować i nie odstępował mnie ani na krok... — odciągnął migawkę i pstryknął. — Wciąż mruczał mi do ucha, że dziś wyjątkowo obiad jest nienajlepszy, bo rzeźnia nie dostarczyła cielęciny. Gdy wybrałem stolik do fotografowania, kazał mi chwilę poczekać. Zgadnij po co.

— No?

— Zjawiała się kelnerka z tacą. Ustawiła na stole piękną wazę z zupą, rozłożyła nowe nakrycie, a na talerzach umieściła... — Jurek parsknął śmiechem. — Zgadnij co.

— No?

— Pęta kielbasy jałowcowej. I nikt się nie śmiał. Chłopcy wytrzeszczali oczy i siedzieli sztywno jak kozacy na defiladzie. Zrobiłem zdjęcie, a kierownik parę razy powtórzył mi swoje nazwisko, żebym przypadkiem w reportażu o nim nie zapomniał.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Śledziłem obłoki, rozpływające się w górze jak wata z cukru. Niebo robiło się coraz mocniej niebieskie, prawie fioletowe. Tiulową firanką poruszał łagodny wietrzyk pachnący słonawo.

— Zdjęcia, rzecz jasna, nie wykorzystam — powiedział Jurek. Nakrył obiektyw pokrywką i schował aparat do futerału — A co ty zamierzasz robić w Gdańsku? — zapytał.

— Rozejrzę się po stoczni — mruknąłem.

— Jeśli masz ochotę, wyskoczymy wieczorkiem do Sopotu. — Jurek szykował się do wyjścia. — Ruletki co prawda tam nie ma, ale poza tym Monte Carlo. Warto popatrzeć.

— Ta historia ze zdjęciem jest obrzydliwa. — Zamknąłem oczy i niebo nagle przestało istnieć.

— Pa, dzidziusiu — usłyszałem, jak Segal zatrząskuje za sobą drzwi.

Wychodząc ze stoczni, porządkowałem w myślach wrażenia. Sekretarz komitetu zakładowego opowiadał mi barwnie o sukcesach brygady Kochaniaka, która zdobyła przechodni proporzec. Pozostał mi w pamięci czarniawy chłopaczek, cherlawy i jakby przestraszony. Nazywał się Kochaniak.

— Brygada, którą kieruję — mówił, przymknąwszy oczy i chowając za plecy nieproporcjonalnie wielkie i grube dłonie — dzięki maksymalnemu wysiłkowi i ofiarności całego kolektywu przekroczyła w tym miesiącu sto osiemdziesiąt procent normy.

— A do kina lubicie chodzić? — zapytałem.

— Do kina? — wyglądał na jeszcze bardziej przestraszonego. — Czemu nie — uśmiechnął się i natychmiast popatrzył na mnie z nieufnością. — Co to ja mówiłem o brygadzie ... — szybko wrócił do tematu. — Więc wszyscy byli bardzo ofiarni i...

W hotelu czekał już na mnie Segal. Miał na sobie farmerskie spodnie z nitami przy kieszeniach i nylonową białą koszulę.

— Mam bilety do Sopotu — rzucił. — Zbieraj się.

Przyjrzałem mu się, potem zobaczyłem swoją postać odbitą w dużym stojącym lustrze. Postać była mizerna, przyodziana w szerokie spodnie koloru khaki i brudnoszarą wiatrówkę.

— Poczekaj — przypomniałem sobie. Wyjąłem z teczki jasnoniebieską koszulkę w żółte i czerwone grochy. Jurek z aprobatą skinął głową.

W kwadrans później jechaliśmy już kolejką elektryczną w kierunku Gdyni.

Brudne i ciasne uliczki, pełne wałęsających się ludzi, kobiet w spodniach i mężczyzn w jaskrawych apaszkach wokół szyi. Groteskowy taniec kolorów i odcieni.

— Marynika, Marynika!... — wyrzuca chrapliwie głośnik przy fotoplastikonie.

— Serwus, Jacek. Nie wiesz, gdzie Zocha?

— Maksymalny jazz! Będziesz?

— Tylko jednego robra. Potem prujemy do „Grandu” ‘.

— Widziałeś, co za nogi?

— Nogi...

— Moneta mi się kończy, jeśli do jutra nie zakombinuję, trzeba będzie wracać.

— Suniemy na deptak?

— Spójrz, Sylwia, jaki przystojny brunet. Ciągłe się na nas gapi.

— A kolorową fontannę pani widziała?

— Uwielbiam morze, towarzyszu prezesie. Morze ma dla mnie coś niewysłowionego. Ten błękit...

— Dżek, ja chcę melbę! Słyszysz, Dżek? Idziemy na melbę do „Kassandry”.

— Jeśli nie poderwę do jutra tej blondyny, możesz mi mówić „Dupa”.

— Jutro na plaży, w tym samym miejscu.

— O dziesiątej?

— O dziesiątej. Jeśli mama mnie puści.

— Też!

— Co pan sobie myśli?

— Dżek, melbę!...

Szliśmy przed siebie leniwym krokiem. Jurek wsunął mi do ust papierosa, pstryknął zapalniczką.

— Jak ci się tu podoba? — zapytał.

Uśmiechnąłem się. Żałowałem, że jesteśmy tylko we dwójkę i że nie znamy tu nikogo. Dziewczęta były ładne, o wysokich piersiach i włosach modnie spiętych w koński ogon. Szczególnie podobały mi się wysokie i szczupłe, ubrane z wyzywającą odwagą.

— Co byś powiedział o tej? — wskazałem Jurkowi opaloną blondynkę w szafirowych obcisłych spodniach do połowy łydek i lekkim białym sweterku.

— Momencik — Jurek obciągnął koszulę i zdecydowanie podszedł do blondynki, która zatrzymała się właśnie przy kiosku z gazetami.

— Dobry wieczór — usłyszałem. — My się chyba znamy. Czy to nie z panią tańczyłem wczoraj w „Grandzie”?

— Wątpię — blondynka obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. — Nie byłem wczoraj w „Grandzie”. Ani przedwczoraj. — Obejrzała się. — Franek! — skinęła ramieniem zbliżającemu się mężczyźnie w koszulce z cowboym na piersiach. — Spóźniasz się, bracie. Pa,

Krzysiu — powiedziała głośno do Jurka, by tamten usłyszał.
— Do jutra, na plaży.

Segał zbliżył się do mnie, a ja puściłem mu w oczy kłęb papierosowego dymu. Kichnął.

— Pech — odezwał się, rozcierając załzawione oczy. — Ale gdyby nie tamten, miałbym ją na dzisiejszy wieczór.

— Miałbyś — przytaknąłem. — O takie nigdzie nie jest trudno.

— To znaczy o jakie?

— W ogóle — uśmiechnąłem się. — Tego towaru w Polsce jest pod dostatkiem.

Jurek popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

— Nie wiedziałem, że jesteś taki kosior — powiedział. — Wyglądasz na spokojnego człowieka.

Wzruszyłem ramionami.

Pomyślałem z zazdrością, że ja nie zdobyłem się na zaczepienie w podobny sposób opalonej blondynki. Mógłbym podejść do niej, zrobić oko do czekającego opodał kolegi i zapytać półgłosem o jakąś ulicę. Potem bym się wykręcił, że akurat nie miała czasu i umówiła się ze mną na dzień następny.

— Zaimponowało ci, że do niej podszedłem? — odezwał się nagle Jurek.

Spojrzałem na niego i lekko skinąłem głową.

— Miałem kiedyś zabawną historię — powiedział. — To było dwa lata temu. Umówiłem się z pewną dziewczuszką o siódmej na placu Unii, dochodziła ósma i byłem pewny, że już nie przyjdzie. Ale czekałem. Wieczór był letni, cholernie ładny, obok przechodzili faceci z babkami. Czułem się bardzo skrzywdzony.

— Znam to — uśmiechnąłem się.

— Poczekaj. W pewnej chwili przed wystawą księgarni zatrzymała się dziewczyna. Rzadko się widzi tak ładne dziewczyny, zresztą mogłem się mylić. Byłem wtedy bardzo

samotny. Więc ta dziewczyna — włosy miała długie, zupełnie czarne — stanęła sobie przed wystawą i oglądała książki. Myślałem, że czeka na autobus, bo zaraz obok jest autobusowy przystanek, ale przejechało kilka autobusów i dziewczyna nie wsiadła. W pewnej chwili wydało mi się, że na mnie patrzy. Po prostu czułem to spojrzenie, jak mi się zdawało, zachęcające. Zrobiłem parę kroków w jej stronę. Coś jakby uśmiech, odwróciła się. Postanowiłem, że jeśli nie wsiądzie do następnego autobusu, podejść do niej.

— Podszedłeś?

— Zaraz... — Jurek skrzył w prawo i zobaczyłem migoczącą światłami linię molo. — Idziemy tam? — zapytał.

— Owszem.

Minęliśmy zaułek kolorowych kiosków i weszliśmy na poskrzypujące lekko deski molo. Z dołu nadlatywał jednostajny ciepły szmer morza. Na twarzach spacerujących ludzi kładły się fioletowe półcienie.

— Podszedłeś do niej? — powtórzyłem.

Jurek wyjął z kieszeni pudełko „Giewontów“ i nie częstując mnie zapalił.

— Autobus dość długo nie nadjeżdżał. Było już dwadzieścia po ósmej i lękałem się, że ona może odejść. Ułożyłem sobie w myśli parę zdań: „Bardzo panią przepraszam. Niech pani nie sądzi, że jestem natrętem. Po prostu bardzo pragnę panią poznać i postanowiłem, że jeśli nie wsiądzie pani do tego autobusu...” Dalej, jak sądziłem, rozmowa potoczy się sama. Widziałem w wyobraźni nas oboje idących Alejami w stronę Łazienek, siadających na ławce i różne takie rzeczy. Rozumiesz. Wreszcie nadjechał autobus i chciałem podejść do niej, ale nie zdążyłem.

— Wsiadła?

— Nie to — Jurek rzucił papieros i przydepnął go obcasem. — Z autobusu wysiadł tłusty facet w pięknie skrojonym filafilu. Gębę miał jak wieprz. Minął mnie i

podszedł do dziewczyny, słyszałem, jak powiedział:
„Wybacz, malutka, musiałem skończyć robra. Gdzie wolisz
— do »Bristolu« czy prosto do mnie?” Popatrzyła na mnie i
odeszli... — Jurek zrobił pauzę, prawą dłonią dotknął
włosów na skroni. — Rozumiesz?

Kiwnąłem głową potakująco. Przeszliśmy całe molo i
trzeba było zawrócić. Powiał wiatr, z dołu nadleciał
niepokojny, narastający pomruk.

— Babek jest do cholery i trochę — powiedział Jurek. —
Ale bardzo chciałbym jeszcze kiedyś spotkać tamtą
dziewczynę. Przez parę następnych dni kręciłem się o
ósmej koło księgaeni na placu Unii. Od tego czasu mogę
podejść do każdej babki i obojętnie zagać, nie mam ani
żdźbła tremy.

— Do tej także? — wskazałem na krzywonogą piękność o
podpuchniętych oczach i kołyszących się, rozłożystych
biodrach, w przeraźliwie czerwonym kubraczku,
podkreślającym śmiały dekolt.

— Jezus Maria! — Jurek prychnął, zawtórowałem.

W miarę jak zbliżaliśmy się do wyjścia, tłumek
spacerujących gęstniał. Rozlegały się głosy powitania,
wymieniano uwagi o pogodzie.

— Jeśli na wieczór wiatr — mówił tonem znawcy do swej
towarzyszki chudy jegomość w kraciastej kurteczce — jutro
murowane słońce.

— Jasiu! — Pryszczaty młodzieniec trącił łokciem kolegę,
wskazując mu jegomościa w kracie. — Popatrz, gość z
PIHM-u!

Jegomość w kracie przystanął, puścił ramię towarzyszki i
obrzucił pryszczatego spojrzeniem pełnym pogardy.

— Że co? — mruknął.

— Omyliłem się, Jasiu — młodzieniec obejrzał się na
kolegę. — On jest raczej wilk morski, patrz, jakie ma zęby!

— Chuligan!

Przyspieszyliśmy kroku. Nozdrza drażnił przyjemnie orzeźwiający zapach ozonu i soli. Wiatr wzmógł się, w jedwabnej cienkiej koszulce zrobiło mi się chłodno.

— Czołem, Segal! — drogę zagroził nam smukły mężczyzna o ładnej, niemal czarnej od słońca twarzy. — Jak się masz, staruszk, nie przypuszczałem, że cię tu spotkam.

— Serwus, Walter! Poznajcie się.

Mężczyzna energicznie uścisnął mi dłoń i niewyraźnie rzucił nazwisko.

— Jolu! — zawołał — Koledzy.

Obejrzałem się. Wsparta o balustradę, stała drobna dziewczyna o nieproporcjonalnie wielkich oczach. Wyprostowała się i podeszła do nas ze spokojnym uśmiechem.

— Na długoście tu wpadli? — zapytał mężczyzna.

Jurek odpowiedział mu coś, czego nie dosłyszałem. Wpatrywałem się w dziewczynę. Z jej twarzy nie schodził obojętny i grzeczny uśmiech.

— Gdzieś już musiałem panią widzieć — powiedziałem.

— Możliwe — wzruszyła ramionami. — Jesteśmy tu od tygodnia.

— W Sopocie z pewnością nie. — Zachciało mi się bardzo zapalić papierosa lub uczynić cokolwiek, co odwróciłoby jej uwagę. — Przybyliśmy tutaj zaledwie parę godzin temu.

Czy pani jest z Warszawy?

— Tak.

— Więc chyba w Warszawie.

Jurek z mężczyzną ruszyli naprzód, szliśmy parę kroków za nimi.

— Jak się pani podoba w Sopocie? — ciągnąłem.

— Średnio. W tym roku miasteczko jest raczej nudnawa — wykonała ręką półkolistą gest. — W dzień siedzi się na plaży, wieczorkiem trochę tańca w „Grandzie” i to wszystko.

— Rzeczywiście — przytaknąłem, wpatrując się w nią uważnie. — Wie pani, chyba się jednak myliłem. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się pani widzieć.

Uśmiechnęła się z tą samą grzeczną obojętnością.

— Walter — rzuciła półgłosem.

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił do niej.

— Namawiałem Segala, żebyśmy wyskoczyli na potańc — powiedział. — Czy pan miałby chęć? — zwrócił się do mnie.

— Jestem zmęczona. — Dziewczyna wyjęła z torebki szyfonową chusteczkę i obwiązała ją sobie wokół szyi. — Najchętniej poszłabym do domu.

— Jolu... — prosząco zaczął mężczyzna.

— Nie chce mi się — ucięła. — Jestem zmęczona, poza tym „Grand“ już mi się znudził. W kółko te same twarze i te same melodie. Jeśli macie ochotę, pójdźcie sami, mną nie trzeba się krępować.

Mężczyzna szybko się z nami pożegnał. Zauważyłem, że ma niespokojny, jakby zalekniony wyraz oczu.

— Zajrzyjcie jutro na plażę — rzucił, biorąc dziewczynę pod rękę. — Siedzimy zazwyczaj po prawej stronie od moło.

Odprowadziłem ich spojrzeniem, aż znikli za rogiem przecznicy.

— On mnie wcale nie namawiał na potańc — powiedział uśmiechając się Jurek. — Biedny facet. Kocha dziewczynę jak głupi, a ona chce z nim skończyć. Nie zdążył mi powiedzieć w czym rzecz, ale dziś miała się odbyć tak zwana rozmowa decydująca. Chciał się, biedaczek, od tej rozmowy wykręcić.

Przyszedł mi na myśl refren z „Maryniki“. Zagwizdałem go cicho: był wesoły i skoczny.

— Równa babka — odezwał się Jurek.

— Niczego sobie — mruknąłem.

— Podoba ci się?

— Niezła.

— Coś mi się zdaje, że już wkrótce będzie do wzięcia.

— Wziąłbyś?

— Jutro rano wyjeżdżam. Ale ty...

— Ja? — ściągnąłem wargi. — Nie wiem. Ona mi przypomina zielony groszek.

— Zielony groszek?

Roześmiałem się głośno, prosto w twarz zaniepokojonego Jurka.